

Zbrodnia za zbrodnią

Sensacyjna powieść kryminalna.

15 Przerobił J. R. Ciąg dalszy.

— Żmija bagnista — zawołał Stein — indyjska żmija, najbardziej jadowita ze wszystkich indyjskich węzów. W dziesięć sekund po jej ukąszeniu człowiek musi umrzeć.

Tu się sprawdziła klątwa złego czynu. Zbrodnicemu zamachowi, który profesor planował, uległ on sam.

Z wszelkimi ostrożnościami, jakich nauczył się, widząc obchodzenie się z węzami w cyrkach i menażeryach. Stein podszedł do żmii i po chwili zdołał ją skłonić do wejścia do żelaznej kasy, w której ją zaraz zamknął. Dokonawszy tego odechnął dopiero swobodniej i zaczął mówić:

— Przekonuję się, że wpadłem na właściwy ślad. Gdybyśmy tu dzisiaj nie byli przyszli, hrabina Erna już by była nie żyła! Chociaż mało brakowało, że nie wszedłem na niewłaściwą drogę. Wiedziałem z opowiadania hrabiny, że niebezpieczeństwo nie mogło jej grozić ani od strony okna, ani też od strony drzwi, zwróciłem więc od razu całą uwagę na wentylator. Ten gwizd i syczenie, o jakim wspominała hrabina, naprowadził mnie od razu na myśl, że główną rolę gra tutaj węź, a jak widzisz, nie pomyliłem się. Ponieważ zaś wiedziałem, że profesor zajmuje się rzeczami egzotycznymi, mogłem być tak przypuszczać. Jemu musiało zależeć na tem, aby działanie trucizny było jak najszybsze, a nie pozostawiało żadnych śladów. Bo też trudno spostrzedz tę małą ranę, jaką pozostawia ukąszenie przez tak jadowitą żmiję. Dźwięk metalowy, jaki hrabina słyszała, pochodził zapewne z odmykania żelaznej kasy, w której profesor przechowywał żmiję. Co robiłem, aby sprawdzić moje podejrzenia, o tem wiesz. Jak tylko usłyszałem syk węży, zapaliłem zapalniczkę i uderzyłem szpicrutą węży; skutek był taki, że węź cofnął się zaraz i znikł poza otworem. Ale uderzenie było silne, więc żmija rozszalała się i z całą wściekłością rzuciła się na swego pana. A tu masz dowody.

Stein zbliżył latarkę do czoła profesora i wskazał koledze palcem tuż przy włosach dwie małe, jakby od ukłucia szpilką pochodzące ranki.

— Tutaj go żmija ukąsiła — rzekł — ale chodźmy już, opuśćmy to siedlisko zbrodni!

Wyszli i zamknęli pokój za sobą.

— Musimy teraz uwiadomić o wszystkim hrabinę. Biedaczka i tak się musi srodze niepokoić. Tylko — jednego jeszcze nie mogę zrozumieć. Profesor chciał zamordować hrabinę Ernę. W jakim celu? To stanowi dla mnie zagadkę, której na razie rozwiązać nie mogę. Ale, nie tracimy nadziei; wierzę mi, Paulsenie, że jakoś i to zrozumiemy.

Szli długim kurytarzem, rozmawiając po cichu, kiedy Stein nagle stanął, zgasił latarkę i cofnął się do głąb niszy, tuż obok się znajdującej.

— Któż to być może? — szepnął Paulsen.

W tej chwili na kurytarzu dały się słyszeć kroki. Po chwili usłyszeli, jak ktoś pukał do drzwi, potem jakiś szmer, jakby drzwi otwierano, a wreszcie wszystko ucichło. Głuszę nocną przerwał dopiero straszliwy krzyk, jaki się ozwał w kurytarzu. Stein rozpalil na nowo latarkę i z rewolwrem w dłoni pobiegł z Paulsenem na miejsce, skąd ten krzyk dochodził.

Pokój, w którym stary profesor ciągle jeszcze siedział martwy na krześle, stał otworem; na środku widać było na pół zemdloną, opierającą się na stołku wysoką kobietę ze złotymi, czerwonymi włosami, obok której stał zmieszany i błądy hrabia Pardua.

Kiedy zobaczył detektywów, po twarzy jego przebiegł skurcz wściekłości i hamowanego przemocy gniewu. A Steinowi zdawało się, że słyszał, jak hrabia zgrzytnął zębami. Ale w tej chwili Pardua się opanował.

— Na miłość Boską! — szepnął drżącym głosem — co to ma znaczyć?

Stein zmierzył go bystrym wzrokiem i odparł zimno:

— Gość pański, panie hrabio, jest — mordercą! Ma on na sumieniu śmierć mlecznej siostry pani hrabiny, a dzisiaj chciał zamordować pańską żonę!

Nie uszedł jego uwagi najmniejszy ruch hrabiego; widział, że Pardua z największą przyjemnością skłębli go należycie i rzucił się na niego. Ale hrabia był zanadto rutynowanym zbrodniarzem.

Chwycił się więc za czoło, zroszone zimnym potem i zawołał:

— Ale powiedzże mi pan, na miłość Boską, co profesora do tego skłoniło? Uważałem go przecie za najlepszego przyjaciela naszego domu!

— Czy nie zechciałby pan — rzekł Stein — zamiast odpowiedzieć — wyjść z tego pokoju? Chciałbym pana prosić o chwilkę rozmowy w cztery oczy.

Hrabia skinął głową, podając rękę Ilonie — którą przedstawił jako hrabinę Pardua i odprowadził ją do jej buduaru, gdzie jak nieprzytomna opadła na dywan.

— Jestem do rozporządzenia — rzekł teraz hrabia, a Ilona widziała, jak jej kochanek znikł razem z agentami w przyległym pokoju.

Ale zaledwie drzwi się za nimi zamknęły, wstała i wybiegła z pokoju, jak kot, skradając się do sypialni starego profesora. Zerwała zeń siwą perukę i brodę, a chwyciwszy go za lodowate dłonie, upadła mu do nóg i zaczęła łkać.

— Co ja zrobiłam!? — wołała — brat mój nie żyje, przezemnie, mój jedyny brat!

I prawie tarzała się z bólu. A nie był to ból zmyślony lub udany, owszem, po raz pierwszy uczuła rzeczywiście ból prawdziwy. Jednak natychmiast jej egoistyczna, samolubna natura wzięła górę.

— Gdyby go tutaj kto znalazł i dowiedział się, że zmarły był moim bratem, że to był kłown Barrison z cyrku, wszystko byłoby stracone. Muszę go stąd natychmiast usunąć; te psy policyjne nie powinny go tutaj znaleźć. Ale gdzież ja go ukryję? Przeniosę go do drugiego pokoju i schowam pod łóżkiem, a gdy się w zamku wszystko uspokoi, pogrzebię go w ogrodzie.

Brodę i perukę rzuciła do pieca i chciała ściągnąć zwłoki ze stołka. Z trudem jej się to tylko udało, bo kłown był krępy i grobokościsty, a więc ciężki, tem cięższy, że zmartwiały już zupełnie. Zaciągnęła go jednakże aż ku drzwiom — wtem stało się coś niespodziewanego.

Drzwi się nagle otworzyły, a w nich ukazała się jakaś ciemna postać. Ilona krzyknęła i przerażona upuściła trupa na ziemię.

ROZDZIAŁ XXVI.

Podpalaczka.

Stara Wildingowa siedziała pewnego dnia przy oknie i widocznie bardzo była zajęta swymi myślami, bo od godziny może nie ruszyła się nawet. Naraz przyszła jej do głowy dziwna myśl. Postanowiła zająć jeszcze do piwnicy i przekonać się, czy jej ofiarę rzeczywiście woda uniosła do kanału, czy też jeszcze się znajduje w piwnicy. Powoli schodziła po schodach na dół. Jeszcze w połowie drogi stanęła, jakby się chciała wrócić, widocznie przekonana, że trup prawdopodobnie od dawna już jest w kanale. Jednak po namyśle poszła dalej.

— Lepiej się upewnić! — szepnęła.

Doszła do miejsca, gdzie wisił klucz, zapaliła zapalniczkę, chcąc go zdjąć, ale światło jej zgasiło w drżącej ręce — przekonała się, że klucza na tem miejscu nie było.

Pobiegła ku pułapce, w którą straciła Steina i o mało nie padła przerażona. Przykrywa otworu była wysoko podniesiona.

— Uciek! Uciek! — syknęła przez zaciśnięte zęby. Zaświeciła raz jeszcze, ale nikogo nie ujrzała.

— Ha! — wrzasła — sam on nie uciek! Musiał temu psu ktoś pomóc!

Zdawała sobie doskonale sprawę z tego, że wszystko już dla niej stracone, kiedy Stein znajdował się na wolności. Szalona trwoga opanowała tę starą wiedźmę; zdawało jej się, że widzi już w drzwiach kata, który po nią rękę wyciąga. Wyteżyła słuch, czy rzeczywiście kto nie nadchodzi, ale słysząc, że cisza wokół panuje śmiertelna, podniosła się i wyszła do siebie na górę. Tam zarzuciła szybko na głowę ciepłą chustkę, zawdzięła gruby płaszcz i wyszła z domu, zamykając bramę za sobą.

Nie wiedziała sama, dokąd idzie. Najchętniej poszłaby była do swego syna, ale nie wiedziała, gdzie mieszka. Zaczęła więc chodzić bez celu po ulicach, przekonana, że przecie musi gdzieś spotkać Roberta, ale nie widziała nikogo, koby był do niego podobnym. Już się ściemniło, kiedy naraż przytuliła się aż do muru pewnej kamienicy, i z zapartym oddechem patrzyła na dwóch mężczyzn, obok przechodzących, a zajętych ważną jakąś rozmową. Nie zauważyli jej, tak się byli zagadali i przeszli dalej. Stara wiedźma odetchnęła.

— A więc nie myliłam się, to był ten szpicel — Stein! — mruknęła.

Twarz jej wykrzywiła się jadowitym uśmie-

chem, zwiędłe, przygasłe oczy zajaśniały na chwilę straszliwym ogniem nienawiści. Poszła za detektywem.

Przeszli już kilka ulic, nareszcie doszli do wspaniałej dzielnicy, w której stara już od dawna nie była. Tam Stein się zatrzymał przed jednym z domów. Wildingowa dom ten poznała. Mieszkał w nim doktor Stürmer.

— Czego ten szpicel chce od doktora Stürmera? — mruknęła stara. — Może chce się wylizać u niego z ran, jakie odniósł, wpadając do pułapki?

Pod pozorem, że chce iść do lekarza, wsunęła się do sieni i poszła na piętro; zaczęła podsłuchiwać przy drzwiach Stürmera. Ponieważ jednak nie słyszała, zeszła znowu na dół, czekając cierpliwie na wyjście Steina. Tymczasem noc zapadała coraz głębsza; wyszła na ulicę i zobaczyła, że w tej chwili zagasło w mieszkaniu doktora ostatnie światło.

— Może przenocuje u niego! — syknęła.

Stanęła jeszcze, czekając chwilę, wreszcie szybkim krokiem puściła się w głąb ulicy, a oczy jej, błyszczały szatańskim ogniem. Szła do straszliwego młyna, ale nie została w nim; weszła tylko do sieni, zabrała jakiś przedmiot, ukryła go w fałdach swego antycznego płaszcza i znowu wróciła do domu Stürmera. Brama była już zamknięta, powiedziała jednak stróżowi, że musi iść do lekarza więc starowina, przyzwyczajony do tego, że doktor nieraz w nocy musiał wyjeżdżać, puścił ją, nie podejrzewając niczego.

Cicho, bez szelestu, jak kot dostała się na pierwsze piętro i stanęła przed mieszkaniem Stürmera. Wyjęła z kieszeni płaszcza jakiś przedmiot, i w tej chwili dała się na schodach uczuć odrażająca woń nafty.

Cóż zamierzała zrobić ta szatanica? W prawej ręce miała wielką blaszankę, z której lała na schody naftę; szczególnie troskliwie oblała miejsce przed drzwiami i same drzwi Stürmera. Potem zapaliła kawałek papieru, umoczonego w naftie i rzuciła go na ziemię, tak obliczając, że zanim płomień dostanie się do miejsc, zalanych naftą, ona już będzie na dole. Jeszcze schodząc po schodach na dół, polała naftą każdy stopień.

W tej samej chwili, kiedy zaspány stróż wypuścił ją i zamykał bramę, rozległ się na górze przeraźliwy huk. Stara wiedźma, biegnąc pędem do domu, śmiała się aż z radości szatańskim śmiechem, do chichotu piekielnego podobnym.

Tymczasem na górze ukazał się tuż przed drzwiami Stürmera błękitny płomyk, podobny do ognistego węży. Płomyk ten wzbijał się coraz bardziej w górę, i niby błędny ogień skakał po schodach na dół, aż zabłysnął jedną wielką, wspaniałą, błękitnosiną wstęgą.

Nie przeczuwając niczego, mieszkańcy domu spali spokojnie; na polu huczał wichor, rozbijając się o kominy i szczyty wieżyczek. Noc była straszna. Niebo zasłane było czarną oponą ciężkich chmur. Wybiła właśnie pierwsza po północy, kiedy na pierwszym piętrze nagle otwarło się okno, a po pustej ulicy rozległ się straszliwy bólem i rozpaczą krzyk: Pali się! Na drugim piętrze ukazała się w oknie jakaś kobieta w białym, z rozwianym włosiem, wołając o pomoc. Płomienie rosły z szaloną szybkością i wdierały się do mieszkań.

Detektyw Stein był pierwszym, który, zaniepokojony wonią nafty, chciał zbadać przyczynę i źródło, skąd ten zapach pochodzi. W pokoju było tak gorąco, że skoczył z łóżka i rzucił się ku drzwiom, ale w tej chwili cofnął się wstecz, bo uderzył go olbrzymi słup ognia, który buchnął przez drzwi, czerpił się portyer i zaczął się ślizgać po ścianach, obejmując cały pokój. Stein podbiegł do okna. Wychylił się i spostrzegł, że doktor Stürmer i jego matka stały również w oknie; ze wszystkich stron rozlegał się dziki, zrozpaczony krzyk: Ratunku! Pomocy! Pali się!

A tymczasem wichor, dostawszy się przez okna do mieszkań, podsycił jeszcze płomienie, które rosły, potęgniały, niosąc za sobą śmierć i zniszczenie.

ROZDZIAŁ XXVII.

Okropny handel.

Koło północy przesunęło się obok domu grabarza na cmentarzu dwóch ludzi. Obaj przedzierali się jak koty i dopiero kiedy znaleźli się wśród grobów, podnieśli się i zaczęli iść śmiało.

— Mój ty Huhle — ozwał się starszy z nich — wiesz ty bodaj na pewno, że na szyi zmarłej znajdziemy jeszcze ten medalion brylantowy, o którym ci mówił Barrison?

— Prawdopodobnie znajdziemy, bo przecie nie wierzę w to, że umarła się podniosła. Jasiek prze-